

3.

Pszenicowłosa Bogini

Czy wiecie na czym polega dualizm świata? Na tym, że wszystko jest albo brzydkie, albo ładne, a po środku cała paleta hybryd.

Zwykliście postrzegać ją w świetle indywidualnych wzorców piękna. Mówić, że jest ono względne. Dyskutować o gustach i takie tam.

Banda zaślepieńców.

Nie ma rzeczy pośrednich. Twory są przejściowe tylko w stadium larwy, której wy przypisujecie ostateczny kształt. Ale czy larwę też nazwiecie piękną?

Stanowicie papkę jednolitej masy, niewidzącej wyrazistości bytów, stąd ta herezja względnego piękna.

Wspaniała teoria!... Z bestii robicie piękną, zaś w pięknej widzicie bestię przyodzianą tylko w formę, która kole was w oczy do granic akceptacji.

Prawdziwe piękno zwiecte prowokacją, szukacie w nim grzechu. Mało tego: grzechu pierwotnego, zupełnie jakby erotyzm był czymś godnym potępienia.

Spójrzcie na nią. Czyż nie ma w sobie uroku?... Czy jej cudowne ciało nie skłania do refleksji nad tą żalną teorią gustów, wygłaszaną przez zawiedzionych terapeutów ludzkich serc?... Jej jasne lica... powabne dłonie... kształt bioder... hm... delicje.

Delicje przy niej to gorzkie hybrydy ciastkarzy szukających ukojenia zmysłów w swoich dziełach. Koją tylko zmysł smaku, nie wiedząc nawet, jak mógłby smakować choć jeden jej pocałunek. Choćby małe

muśnięcie, słodki szmer, zwiewny dotyk warg, drażniący wszystkie zmysły.

Poezja smaku.

Susan.

Włos o barwie słońca, oczy jak te fiordy,
Biodra smukły filar i ciepłe ramiona,
Z ust kojące słowo, w piersiach złote serce,
Moja męskość – zdumiona!

Po raz pierwszy zachwyciłem się nią w dziewięćdziesiątym piątym, kiedy pracowałem jeszcze w Instytucie Genetyki w Stanach Zjednoczonych, dokąd wysłano mnie na stypendium i skąd już później nie wróciłem na polską uczelnię, przekonany do wolności słowa.

Miała na imię Susan. Nazwisko w pierwszej chwili zapamiętałem jako brzdęk dwu- lub trójczłonowej hybrydy, coś a la Isaura Don Quijote – idiotyczna nazwa własna przebrzmiewająca mi przez głowę, jak cień meksykańskiego słońca – i w niedługim czasie skorygowałem to mrzonkowe *déjà vu*, zastępując je bardziej klasyczną wersją hiszpańskiego dwuczłonu, który po dziś dzień repetuje w mych uszach jak niedzielna msza.

Oto moja Rodríguez Valverde. Najpiękniejsza z gwiazd. Zapewne Michał Anioł nie byłby nią tak oczarowany jak Kopernik, ale to, co najbardziej zniewalało mnie w tej kobiecie, dotyczyło jej wszechmogącej wiary w miłość, z jakiej ona sama, przypuszczam, nie zdawała sobie sprawy. Jej umysł zniewalał moje lędźwie, a wiersze budziły drzemiące w nich wulkany, zdolne do erupcji, jak za czasów, kiedy byłem jeszcze szkolnym młodzieniaszkiem.

Panie i panowie, Susan poznałem jako „odkrycie roku” – wziętą poetkę o hiszpańskiej krwi, w tamtych czasach mieszkającą jeszcze w spalonej upiornym słońcem Maladze, dokąd w późniejszych latach podstawówki przeniosła się z Polski z rodzicami – dobrze sytuowanym profesorem (jeśli pamiętam pochodził chyba z Katalonii) i – po-

wiedziałbym – mniej wystawną, za to wielkoduszną panią domu (z pochodzenia Polką), prawdopodobnie całe życie zajmującą się dopieszczaniem ojca – nie chciałbym, by ktokolwiek z was źle mnie zrozumiał...

Nigdy jednak nie spotkałem Susan. Zakochałem się w jej wierzbach, utopiłem się w jej głosie i umarłem przy jej zdjęciach, spity – o Ironio! – jak *bela* (o *bella*, ma *bella!*) – tamtego dnia, gdy pakowałem się przed powrotem do kraju, by tutaj spocząć obok ciebie (to zabawne – że też powiedziałem „spocząć”), ale nigdy dotąd nie byłem świadkiem jej rzeczywistego wizerunku. Jakiś iluzoryczny przypadek – zapewne jeden z tych, które zdarzają się tylko w książkach – sprawił, że moja pszenicowłosa bogini już niedługo miała się przeprowadzić do wielkiego pustego domu w miejscowości, gdzie skażone łono mojej matki wydało mnie na ten bezduszny świat i gdzie spędziłem całą swoją chorą adolescencję... Gdyby bogowie słyszeli me bluźnierstwa, zapewne oddaliby mnie do przytułku; na szczęście, jako dziecko, byłem bardziej powściągliwy w słowach. Powściągliwość Carmen była zresztą dużo większa, o czym przekonałem się później, dwa miesiące po tym, jak ta prześliczna rusalka – o spojrzeniu barwy seszelego fiordu i tali motylego tułowia – sprawiła, że za oknem mojego rodzinnego domostwa wyrosły góry Olimpu, i widok odległego nieba znalazł się nagle tak blisko, iż od tej pory mogłem codziennie grzeszyć w czeluściach własnego piekła, gotując mej pani spektakl, jakiego żadna kobieta nie pozazdrościłaby nawet swojej nieprzyjaciółce. Moja bogini zamieszkała w sąsiednim domu. Z sąsiedniego domu ja podglądałem jej świat. I może nie byłoby w tym nic z grzesznej profanacji, gdyby nie to, że widziałem najbardziej intymną Susan. Susan, której negliż co wieczór miałem jak na dłoni i który w obiektywie lunety sprawiał wrażenie prawie namacalnej rzeczywistości, a ja każdego dnia czekałem z utęsknieniem na tę rzeczywistość w nadziei, że kiedyś własny Hades zamienię na Olimp po drugiej stronie lustra i останę w nim po wieki.

Oto moja Susan. A oto i ja.

Miasto, do którego wprowadziliśmy się prawie w tym samym czasie, nosiło nazwę – Górskie Oko.

Jest siedemnasty dzień października dwutysięcznego roku. Już prawie wieczór. „Na głowie czarna czapeczka z granatowym połyskiem i krótki krawacik na gardle, skontrastowane z białymi policzkami. Grzbiet i skrzydła szare bez wyraźnych rozjaśnień. Spód brudnobiały. Śpiew monotonny, złożony z szybko powtarzanej frazy *ciff ciff ciff...*” – dwie białe sikorki, siedzące na parapecie salonu Susan, wpadły w mój obiektyw i na chwilę przesłoniły jej balsamiczną dla oka sylwetkę. Siedziałem w swoim dormitorium wszczepiony niczym jastrzęb w zimny metalowy statyw i czekałem, aż z ornitologa przeistoczę się w żalosnego anatoma, któremu Michał Anioł pozwoli wyłuskać w wyobraźni niepokojąco piękną sylwetkę tym razem kobiecej anatomii. Najprzód ujrzałem te niecodzienne kosmyki pszenicznej barwy włosów, ślizgające się od czubka głowy po anatomicznie wyprofilowaną szyję, o nucie słomkowego blasku i garści puchowego meszku pachnącego miodem i świeżą lawendą. Potem omdlewałem w uściśnięciu jej lalkowych ramion, skradzionych z wystawowej półki, i w blasku fiordowego oka, jakie spłynęło właśnie w stronę filigranowego widziadła. Nieco później moje oczy zaczęły trzepoczącymi się z przejęcia powiekami o wygrawerowany na atlasowej skórze pieprzyk, pieprznie wyglądający spod suto upchanego biustu; a jeszcze dalej – ja, młody adept tej sztuki! – smakowałem wyszywania z jej ciała spływającego ku biodrom tułowia, gdzie w śliskiej jak tafla szkła, wąziutkiej miednicy czekała kolebka mojego przedłużenia. Nie miałem wątpliwości, że ten dzień musiał kiedyś nadejść. Susan szła po pokoju jak bogini. Obiekt mych badań podszedł bezwiednie ku roznieglizowanej framudze okna i oko anatoma spostrzegło wnet w filigranowym widziadle to przepiękne serce, zdolne pokochać jednocześnie cały świat i wyplenić z niego wszelkie zło, które w moim domu piętrzyło się zapewne w nieświadomy sposób i sprawiało, że za każdym razem, gdy zasiadałem w swoim nieetycznym planetarium – by ku uciesze samego szatana podziwiać gwiazdy – sumienie dawało

o sobie coraz bardziej znać. Zabłądziłem spojrzeniem na jej ustach i nie chciałem odnaleźć powrotnej drogi. Spiełem z nich mokry smak kolacji. Kiedy Susan odwróciła się od okna i płynęła w kierunku sofy, jej krągłe pośladki odegrały przede mną zmysłowe tango, a motyle biodra wzbily się ku górze i skrzydlata anielica pofrunęła ku niebu jak niewinny gołąb – moja piękna nimfa; rusalko ze snów!

Jaki piękny świat otwiera się przede mną! Jaki piękny świat!...

4.

Trochę ja, trochę ona...

Dowiedziałem się z prasy kilku istotnych informacji na temat Susan, które chciałbym tutaj przytoczyć, a które niewątpliwie nie pozostają bez znaczenia. Otóż gdy ja byłem jeszcze w pełni sprawnym pracownikiem prężnej amerykańskiej firmy farmaceutycznej, której poświęciłem srebrne ćwierćwiecze, dobrotliwa Susan borykała się z własnym doktoratem i skwapliwie pisała wiersze. Mam tu na myśli rok dziewięćdziesiąty piąty, żeby każdy mógł mnie dobrze zrozumieć. W roku tym bowiem, kiedy w lasach nastąpiło przeraźliwe rykowisko – co prawda nie mające nic wspólnego z jej ani moją historią – o Susan po raz pierwszy zrobiło się głośno (cofam to, co przed chwilą powiedziałem). Atrakcyjna, młoda asystentka, wieloletnia stypendystka i zdobywczyni licznych grantów, związana na stałe z macierzystą uczelnią w Granadzie (*Facultad de Filosofía y Letras*) z dnia na dzień stała się sławną poetką, jeszcze z końcem tego samego roku bogatszą o sto tysięcy sprzedanych egzemplarzy. Co prawda wchodziła w to również Ameryka Południowa, bo Susan pisała głównie po hiszpańsku, ale nie da się ukryć, że jak na architektkę poezji zyskała sobie dość liczne grono czytelników (wybaczcie ten koślawy dobór słownictwa). Początkowo nic o niej nie wiedziałem. Zaściankowej Polski nie doszły słuchy o jej sporym talencie, ale zbombardowaną latynoską nacją Amerykę – owszem – dosięgła propaganda wydawniczych hien. W zasadzie nigdy nie stałaby się ona moim udziałem, gdyby nie – o, dzięki, wam, potomkowie plemienia Keczua! – pewna peruwiańska stacja telewi-

zyjna, agresywnie pojawiająca się prawie na każdym kanale, kiedy starałem się walczyć z ustawieniami starego satelitarnego tunera...

Tego wieczoru zmęczenie doskwierało mi jak nigdy. Spędziłem w pracy dwanaście godzin, badając strukturę molekularną bakterii Langa – a w zasadzie to jej wynaturzone DNA – i nie miałem siły walczyć z natrętnym satelitą, który dosłownie pluł z kosmosu lawiną sygnałów nadawanych z dalekich Andów. Pozwoliłem, by ci skośnoocy Latynosi rzęgotali w moim domu pijaną mową, a sam, powalony dniem męczących badań, walnąłem się na sofę z butelką dobrego piwa w rękę.

W pewnym momencie przykuł moją uwagę wywiad z jakąś piękną młodą kobietą, który szczęśliwym trafem tłumaczono napisami na angielski (przez ponad dwadzieścia lat był to w zasadzie mój „pierwszy” język). Nie mogłem nie zahaczyć o nie wzrokiem. Prawdę powiedziawszy, miałem mały problem: piękno tej kobiety tak bardzo rozpychało się po ekranie, że dosłownie zasłaniało litery, które jakimś cudem udawało mi się składać gdzieś w lewym dolnym rogu, gdzie na tle czarnego zegara białe piśmiennictwo stawało się bardziej widoczne. Zauważyłem, że jej głos był nieco inny od głosu peruwiańskiej prezenterki, a dźwięki o nieboskłon przyjemniejsze dla ucha niż ten ciężki łomot pijanego łosia, którym operowała dziennikarka i który zawzięcie kojarzył mi się z ustami pełnymi klusek. Od czasu do czasu Susan wyrzucała swój język zwinnej jaszczurki spomiędzy śnieżnobiałych ząbków, wargi jak dwa łuki spoczywały wokół niego w pozycji horyzontalnej – jedna u dołu, druga na górze – mnie zaś dobywał szleszczący, delikatnie sepleniony (ach, ten miód na ustach!) dźwięk słodkiego „z”: tydzień później ćwiczyłem go przed lustrem, trzymając w rękę kieszonkowe rozmówki do nauki hiszpańskiego – tak zaczęła się moja lingwistyczna przygoda z tym językiem.

Choć tłumaczenie wywiadu nie było najlepszym majstersztykiem – co chwilę bowiem pojawiał się w nim jakiś błąd (*I'm sou sorry*) – fascynacja, z jaką odkrywałem tę młodą piękność, zdała się rekompensować cały ten ortograficzny zgiełk, a słowa Susan sprawiały wrażenie semantycznie przejrzystych perełek. (O, perło ty moja, gdybym

mógł zawiesić cię na własnej szyi!...). Perły te tworzyły korale informacji na temat jej skromnego życia, pierwszego wydania i zawartości stustronicowej książeczki, jaką pani Peruwianka nieudolnie nachyliła do kamery, a blask studyjnej lampy upadł na okładkę i wybuchł na niej z błyskiem długowiecznego flesza: „*Aquí podemos ver su maraviloso libro*”⁴, powiedziała.

Skądinąd dowiedziałem się z wywiadu, że Susan na stałe mieszka w Hiszpanii, a jej obecność w Ameryce była tylko tymczasowa, stąd w następnym dniu udałem się do stanowej biblioteki, przeglądając uważnie hiszpańską prasę i znajdując ciekawe wzmianki na temat mojej świeżo upieczonej „obiektczyni” westchnień – swoją drogą, pojawiła się ni stąd, ni zowąd. Mogę teraz spokojnie przytoczyć wam kilka informacji, które znalazłem na jej temat w prasie.

Susan Rodríguez Valverde. Prasa kobieca (z hiszpańskiego *de corazón!*): młoda, atrakcyjna szatynka (teraz tlenione pasemka) o wysublimowanym spojrzeniu i wrażliwej duszy, do dwunastego roku życia mieszkająca w Polsce – kraju socjalistycznym, w którym ojciec, obywatel frankistowskiej Hiszpanii, parał się dyplomacją, gdzie prawdopodobnie był ją spłodził... Matka – (wcielenie Matki Polki) – poznała ojca na jakiejś wycieczce do Berlina Wschodniego, miesiąc później zamieszkiwała już lazurowe wybrzeże na Costa del Sol. Później wróciła do Polski, gdy jej mąż dostał intratną posadę ambasadora przy Ambasadzie Hiszpańskiej w Warszawie (Warszawa jako *Varsovia*). Przed rokiem siedemdziesiątym przyszła na świat Susan i od razu wszczepiono jej obydwie nazwiska po ojcu, bo ten, jak podaje autorka szablonu, nie chciał się zgodzić na to, by córeczka na drugie miała Żyszczkiewicz⁵. Studia w Granadzie, uczelni znanej obecnie z tego, że kształci głównie zagranicznych stypendystów. Wykształce-

⁴ (hiszp.) Tutaj możemy zobaczyć jej cudowną książkę.

⁵ Przypis autora: W krajach hispanojęzycznych każdy obywatel nosi dwa nazwiska, z których jedno dziedziczy po ojcu, drugie natomiast po matce, w tejże kolejności. Po każdym z rodziców dziedziczone jest zawsze tylko pierwsze nazwisko (nazwisko rodowe), np. Alberto **Oswaldo** Tacón + María **Fernández** Mata = José **Oswaldo Fernández**.

nie filologiczne; specjalność: języki słowiańskie, dziedzina: literatura słowiańska i jeszcze kilka dziwnych pseudo dziedzin z kognitywizmem czy czymś takim na czele. Męża brak. Narzeczony, owszem; nie ma jednak o nim żadnej wzmianki i bodajże coś tam psuje się w ich związku – cytuję za autorką brukowego piśmiidła. Romans, prawda, był gdzieś między maturą (*bachillerato* – gdybyście mogli tylko usłyszeć to słowo!) a pierwszą sesją na uczelni. Podobno miał mocne ramiona, ale ptasi mózg – ha!, szmatława liryka. I jakoś tak dalej, że już nie pamiętam, bo moje oko przykuwa kolejny artykuł, tym razem z lesbijskiej prasy: dział pornograficzny, ukryty w ostatnim korytarzu półek, tam gdzie diabeł mówi „dzień dobry” – musiałem dziesięć razy skręcić, zanim labirynt doprowadził mnie do poszukiwanych zbiorów (swoją drogą miałem nosa, szukając mojej Susan w tak sprofanowanym dziennikarstwie).

Na pierwszej stronie od wewnątrz – Boże, co ja tam ujrzałem!... – dostałem w twarz intymną tkanką pani przy tuszy, której to tkanka mizdrzyła się do mnie jak tania prostytutka, o czerwonych ustach i sinym z pożądania jęczyczku – ohydny kawał przeterminowanej wieprzowiny. Natychmiast pobiegłem stroną dalej. Po wulgarnej sesji może i atrakcyjnych, lecz nazbyt agresywnych kobiet, mignęły mi przed oczyma kolorowe reklamy, śliczna (niestety w bikini) czarnulka o małych piersiach, *Cómo relajarse junto al radiador*⁶, aż w końcu zdjęcie Susan zatrzymało me palce... i niebawem skłoniło je do rychłego zatrzaśnięcia pseudo erotycznej lektury. Oto bowiem głowa mojej Susan wystawała z kościstego odwołka jakiejś latynoskiej cizi, a od ramion aż po nagie łono w płaszczyźnie wertykalnej widniał skreślony drobnym maczkiem napis *for. Juan Barra Enríquez*. Obok zdjęcia pochylony jak dziad kolorowo nakrapiany tytuł: *Nuestra Reina de Poesía*⁷... Stałem w odległym końcu sali, w całkowitym jej zaułku, dokąd nie zaglądało nic poza światłem zwisającej mi nad głową nagiej żarówki, i byłem zdumiony. „Tysiące dziewcząt chciałoby poczuć na

⁶ (hiszp.) Jak się zrelaksować przy grzejniku

⁷ (hiszp.) Nasza królowa poezji

sobie jej meszek na skórcie od pośladka i całować jej usta, bo z pewnością ona jest jedną z nas; wśród jej stóp znajdujemy tę zmysłowość, co prowadzi nas do wieczności i głębokiej wiary” – czasopiśmo, o którym mowa, po prostu ukradłem, a zdanie, które przytaczam, jakiś czas później przetłumaczyłem z hiszpańskiego i teraz podaję ten stek bzdur, od razu zaznaczając, iż to nie moje słowa, lecz jakiejś szerokiej w biodrach latynoskiej grafomanki.

„Do wieczności i głębokiej wiary...” – cóż za przejmujący liryzm!

Kolejne informacje, jakie zdobywałem o Susan, pochodziły już z rozmaitych źródeł, wśród których wiodącą nadal była oczywiście prasa, ale moja niejasna zdolność telepatii przyczyniała się do wiedzy o Susan chyba nie mniej niż środki masowego przekazu. Pewnego upalnego dnia minionego lata siedziałem spokojnie na tarasie, zaczytany w jej książce, gdy gdzieś przy zręcznym lipogramie miałem dziwną wizję. Nie potrafię powiedzieć, czy zasnąłem czy też snilem na jawie, ale ujrzałem siebie w moim rodzinnym domu, gdzie z okna naprzeciwko wyglądała do mnie, jakby żywa, szarowłosa Susan, i słyszałem, jak przywołuje mnie swoim aksamitnym głosem. „Przyjeżdżam”, wołała. Coś mnie tchnęło, żeby jeszcze w ten sam dzień skorzystać z bibliotecznych zbiorów i przy okazji odwiedzić kilka internetowych witryn. I rzeczywiście. Kiedy przeglądałem stronę uniwersytecką z Granady, jakiś odnośnik skierował mnie na oficjalny portal Ministerstwa Edukacji, stamtąd przerzuciło mną do Instytutu Cervantesa i gdzieś w piątym z kolei okienku wyskoczyła informacja na temat nie bardzo przeze mnie rozumianej hiszpańsko-polskiej fuzji – notatka, na łamach której odnalazłem nazwisko Susan. Fuzja, jak o niej pisano, dotyczyła połączenia dwóch placówek naukowych... – zaraz... chodziło o zwyczajne obiekty edukacji średniej – które utworzą jedną wspólną instytucję (syntetyczny twór), zadaniem której będzie realizować ramowy program polskiego szkolnictwa, przy jednoczesnym zintensyfikowanym nauczaniu języka hiszpańskiego. Polskie dzieci miałyby zawzięcie uczyć się tej drugiej materii, a pierwsza w niedługim czasie byłaby im podawana w ujęciu przez tę drugą (wyjaśniam, że chodzi między innymi o matematykę po hiszpańsku). Nie

wiem, jaki status prawny posiadał ten nowotwór, wiadomo mi natomiast, że placówka miała powstać w kraju i mieście mojego dzieciństwa, a jej rządy oddano w ręce...

...Susan!

Tydzień później, ja, były pracownik preżnej amerykańskiej firmy farmaceutycznej i od dwóch lat rencista pierwszej grupy, byłem tam, gdzie na Susan czekał wynajęty przez Hiszpanię duży górski dom, jakiś czas temu w dziwnych okolicznościach opuszczony przez właścicieli. Oto, co teraz działo się w jego wnętrzu:

Susan, po tym jak wczoraj przyleciała do Warszawy, dzisiaj na dobre zagościła na ulicy Leśnej, otulonej arkadą lip i klonów. Dom był w pełni przygotowany do zamieszkania. Mejs ruszałce towarzyszył łysawy mężczyzna, w koszuli ze stójką i w cętkowanych spodniach – jak się później dowiedziałem: wicedyrektor tej hybrydy; chyba iberysta, bo z placu usłyszałem, jak wnosząc bagaże, powiedział coś do niej po hiszpańsku. Szybko jednak się pożegnali, i wieczorem Susan była już całkiem sama...

Gdy odeszła od okna – jej tańczące tango biodra mam jeszcze rozlane przed oczami i w oniryzmie tracę resztki niezdrowych zmysłów – rozkołysana tancerko-ćma po raz pierwszy wpadła w moją niewidzialną pajęczynę. Zadrżałem w powiewie zimnego wiatru, który przez okno zajrzał do sypialni, i złapałem za telefon. Punkt widokowy był wręcz idealny, żeby widzieć, co działo się w każdym skrawku nieba. Mój anioł pochylał się nad ławą – co tylko rozpałiło już i tak dymiącą jak żelazo chuć – i wystukał na tym zmyślnym urządzeniu, dociśkanym teraz przeze mnie podbródkiem do szyi, kilka grających mi w uchu cyfr. Melodię, jaką napisała, usłyszałem później jeszcze nie jeden raz. Wiem, co teraz pomyślicie. Nīm jednak ktokolwiek z was zobaczy siebie na ławie przysięgłych, niech sięgnie pamięcią wstecz w partykularną przeszłość, i jeśli bez winy – pierwszy rzuci kamieniem. Zapewniam, iż wasze arbitralne gremium nie pozostanie bez plam na honorze, a mój odosobniony przypadek sędziego lustracyjnego okaże się niewinnym lapsusem w życiu tak poczciwego człowie-

ka, który dotąd nie ubliżył nawet kąśliwej osie, bowiem jego miłość do Susan wszystko wyjaśniała, a los udzielał rozgrzeszenia w chwilach tak bolesnej czułości. Przyznaję więc, że moja linia telefoniczna była na stałe zaczepiona o światłowody płynące do nieba, przyznaję też, że uciekłem się do korupcji i że konserwator z firmy telefonicznej dostał za to sówite wynagrodzenie. Prosząc was zatem, bądźcie mi wybaczyli, pozwolę sobie swobodnie zacytować króciutki dialog ze słuchowiska.

W słuchawce słyszę ciągły sygnał, a po chwili – ryk:

– Zuza?! Boże najdroższy, to nasz polski numer! Skąd ty dzwonisz?!

Dzwoni skąd dzwoni, w każdym bądź razie mnie osobiście nie uradował ten jeleni wrzask, co na twarzy Susan miało zdecydowanie inny wydźwięk. Wrzeszczała kobieta, i bynajmniej nie był to sopran. (Odsłonię karty już na wstępie i zdradzę, iż zaraz po tym przejmującym wrzasku dowiaduję się, że na imię jej Aneta; nieco później posiądem szerszą wiedzę na jej temat, uświadomiony o jej trzyletnim stażu małżeńskim, dwuletniej dozie macierzyństwa i wieloletniej przyjaźni z Susan, w połowie zawieszona na okres jej emigracji).

– Jeeezuu! Tak się cieszę! – wydała z siebie męski tembr, a ja ujrzałem jej grube lica i świńską twarz z małymi przekrwionymi oczami; u dołu tułowia matczyzna miednica zdradzała symptomy rubensowskich dzieł.

– I jesteś dyrektorką?! – usłyszałem trzask obcasa. – Uuuuuuu!!! – dobywał się spod ciężkiego uda i skowyczącej podłogi. – Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Susan podrapała się w pachwinie. Cud miód!

– ..ankę – wyłapałem ponieważ. – Taką małą niespodziankę...

– Niespodziankę?! – uderzył mnie po uszach taki skowyt, że wyprostował małżowinę. Zmusiło mnie to, bym puścił statyw i odsunął nieco telefon.

– Mogę sobie wpisać ten numer do mojego nowego panasonica?!

– spytała, po chwili mojego antraktu, gdy snułem reminiscencje na temat uda mojej Susan i wracałem ramieniem do statywu.

- Koniecznie musisz mi o tym wszystkim opowiedzieć – ściszyła ciężki wokal – bo inaczej nigdy ci tego nie wybaczę. Gdzie ty teraz mieszkasz?

- Tam gdzie kiedyś chodziliśmy na grzyby. Pamiętasz? – Oto śpiewy mojej Susan (zauważcie, że podobnie jak ja, też tu kiedyś mieszkała).

- O, Boże! Na leśnej?!... – słuchawka... – ...tam gdzie ta ławica klonów?!

Ławica klonów.

- Tam.

- To cudownie! Będziemy mogły wykąpać się w czerwonych liściach i poopowiadasz mi wszystko, co się ostatnio u ciebie wydarzyło. Nie rozmawialiśmy od czasu, jak twój tata...

...ubodło mnie w serce...

- ...umarł – ją też coś ubodło.

- Umarł – zaśpiewała Susan gorzkim żalem. – Od tamtej pory minął już prawie rok, jestem już silniejsza niż wtedy. Ale dziękuję za troskę.

- Mówiłam ci, że czas leczy rany, moja Zuzo. Pewnie wyładniałaś, jak ostatnim razem.

Nadmieniam, iż ostatnim razem widziały się trzy lata temu, kiedy temperamentna pani psycholog pomagała Susan wyleczyć się po stracie ukochanego. Susan porzuciła wówczas jakiegoś gagatka, który ją notorycznie zdradzał, a tamta... owszem – była psychologiem.

- ...funkcję dyrektora przejmuję dopiero od jutra, nie miej więc do mnie żalu, że dzwonię dopiero teraz – Susan tłumaczyła się, gdy tamtą zdziwiło, że przecież już dawno trwał rok szkolny.

- Dziwne to wszystko u tych Hiszpanów. Ze wszystkim się spóźniają. A przy okazji... – zaczęła z grubej rury. – Roberto już chyba dawno odszedł w zapomnienie?...

Gdzieś między jednym a drugim akapitem swojej kwestii Susan znikła mi nagle za jakimś nieproszonym filarem, uporczywie sterzącym na środku salonu, i przez chwilę nie widziałem jej słów. Przez

chwile też ich nie słyszałem, bo w tym czasie rozładował się mój słuchawko-spieg. Kazałem mu mówić na głos.

- ...i już nie zamierzam do tego wracać – powiedział telefon (słuchawka była mi teraz do niczego nie potrzebna). – Mama, co prawda, ciągle namawia mnie do zmiany zdania, ale ja dawno już postanowiłam. Wjazd do Polski to dobra decyzja, a ostatnie trzy lata pokazały mi, że w Hiszpanii tak łatwo o nim nie zapomnę. Nie uważasz, że to żalotne, żeby tak bardzo musieć reformować własne życie?...

Jest. Susan wysunęła się zza filaru i jej smukłe motyle biodro wpadło mi w oko jak ciepły, śliski język na powiekę... Rozpląnęło się widziadło w moim sercu... Co za słodycz!...

- Jestem doprawdy szczęśliwa, że masz to już wszystko za sobą. Przyjdiesz do nas na kolację, prawda?

...słodycz taka, że jak sztylet wchodzi w zainfekowaną miazgę w mojej schorowanej trójce, kiedy pomyślę, jak mogłoby boleć twoje odrzucenie: ssak endodontyczny w kanale żywej miazgi, zapalenie okołowierzchołkowe, rwany nerw – i to wszystko bez znieczulenia... a ty nadal taka uśmiechnięta.

- ...więc może kiedy indziej. – Swoją drogą zastanowiło mnie przez moment, jak smakuje twoje szkliwo, moja kochana perłożębna nimfo.

- Dobrze – zabrzmiał wielorybi tenor (kuśtykam we frazesach, oj, kuśtykam). – Na kolację umówimy się kiedy indziej, ale musisz mi obiecać, że przyniesiesz z sobą swoje książki do poczytania; wiesz, ten drugi tomik, co go w Polsce nie wydano...

Był nienaganny. Baba wiedziała, o czym mówi. Aczkolwiek tytuł trącił laickością.

- „Mucha bez nogi”?

- O właśnie ten! Jak to brzmi po hiszpańsku? – i tutaj słyszę wycedzone przez Susan szeleszczące dynamiczne dźwięki:

- „*Mosca sin pierna*”.

- O właśnie ten! – dopowiada, przekonana, że szelesty te coś jej mówią; w zasadzie słyszy jedynie, jak szeleści jej w uszach. – Piękny

tytuł – mówi. – Piękny... – tutaj robi krótki antrakt na refleksję, ja zaś pozostawiam ją bez komentarza. – Tak się cieszę, że dzwonicz...

Był już późny wieczór, kiedy włączyłem białą lunetą po rozświetlonym oknie Susan, a z nieba kapał łzawy deszcz; rzadki jak bryza, wonny jak wilgotny las. Sunąłem latarnią z krainy baśni po szklanej tafli nieba i stukalem do jej wrót – pragnieniem niedającym sobie zrobić topografii. Byłem szczęśliwy jak nigdy dotąd. Jak nigdy, dokąd sięgała moja pamięć.

– Jutro o dziesiątej rozpoczyna się uroczysta inauguracja. Może przysłałabyś do nas i sama zobaczysz, jak to wszystko wygląda? – powiedziała Susan.

Babsztyl musiał chyba zmarszczyć brew:

– Będzie ciężko... – jakieś „cmok, cmok”. – Od jedenastej przyjmuję pacjentów.

– Jeśli uda ci się przełożyć pierwszą wizytę, to zapraszam. Wiesz, co prawda nie jestem jeszcze samowystarczalna w całym tym zgiełku i nie mam swojego samochodu, ale jestem przekonana, że dyrektor Gosiński nie będzie miał nic przeciwko temu, żebyś zabrała się rano z nami. Na pewno lepiej się poczujesz, jeśli ty tam będziesz.

– Daj spokój, Zuza, stara baba jesteś...

– Będziesz miała okazję poznać wielu Hiszpanów. Kto wie, czy kiedyś trafi ci się taka ponownie.

– Boże, przecież ja mam męża! – słyszę, jak krzyczy, lecz akcent przeczy jakoby bulwersował ją takowy flesz z migawki o romansie tłustej wieprzowiny z czarną wołowiną. – Ja taka biała i on taki ciemny! – dopowiada.

– Kto? – Susan ciemna i ja ciemny...

– No ja i potencjalny Hiszpan, z którym chcesz, żebyś rozbiła swoje małżeństwo – śmiała się do telefonu. – A co z moją tuszą? – Wiedziałem. Od razu wiedziałem, że smalec na niej wisi. Widzicie?...

– Jesteś atrakcyjną, sympatyczną panią przy kości. No... może trochę z charakterkiem, ale dobroć z ciebie bije. Chcesz mi wmówić, że nie spodobałabyś się pierwszemu lepszemu Hiszpanowi?

– No wiesz! – irytuje się baba. – Pierwszemu lepszemu?!

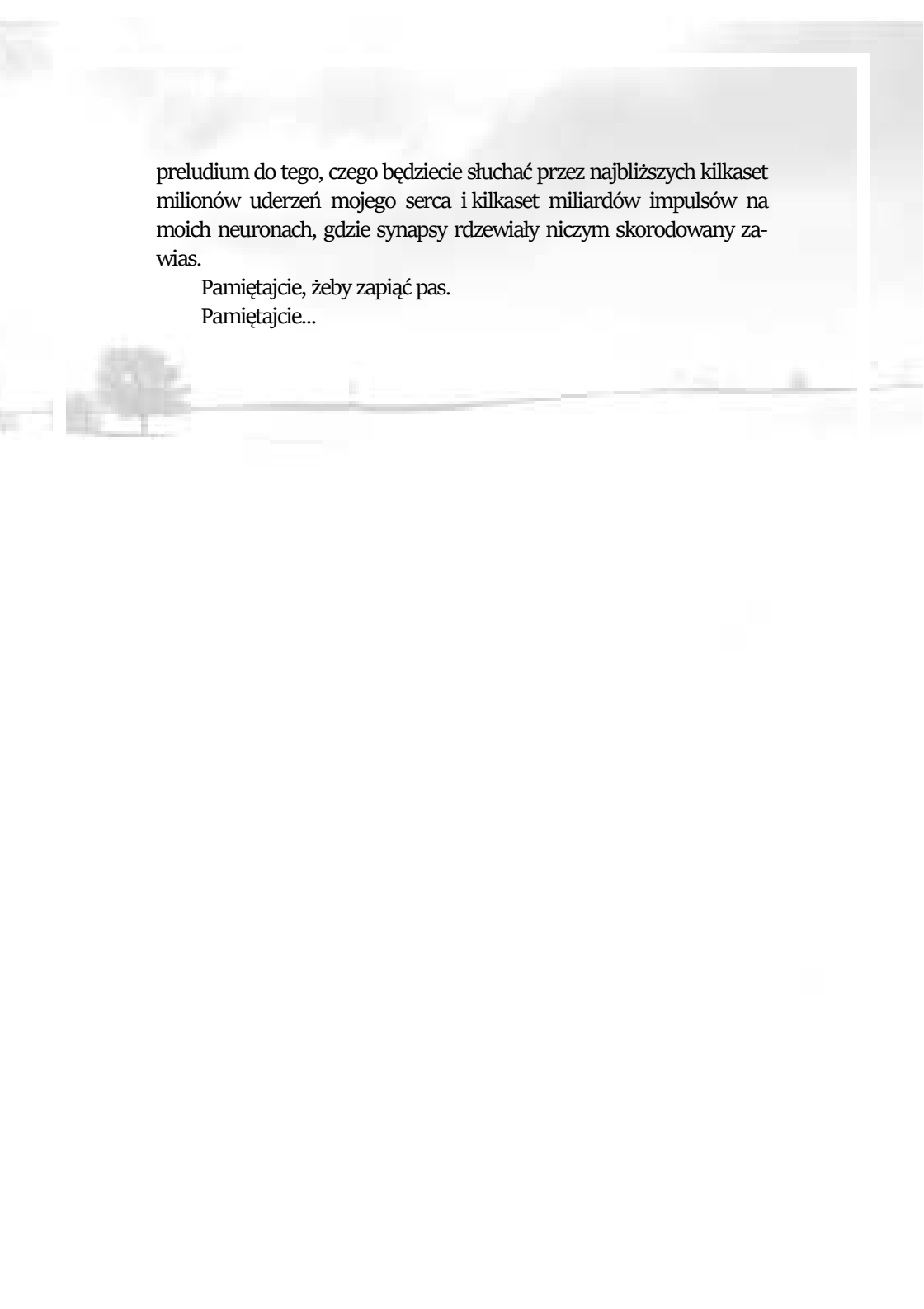
- Chciałam powiedzieć...

- Oj, wiem, Zuza, co chciałaś powiedzieć. No ale zrozum: nie mogę, kochanie, pojechać jutro na tę twoją inaugurację. Mała ma coś na pośladkach, odparzenie czy coś, a ja obiecałam sobie, że przed południem pojedę z nią do pediatry. Tonę w obowiązkach, Zuza. - Obrzydlistwo: anatomia niedojrzałej pupy młodocianej nimfetki według rubensowskiej maciory; bułka z masłem - obrzydlistwo.

„- A skąd to masło?” „- Nie wiem, nie ważne!”

- Umówimy się więc, kiedy będę po wszystkim - dodała teraz Susan i audycja powoli gasła.

Kiedy jechałem lunetą z zachodu na wschód, z północy na południe i z ławy, gdzie Susan odkładała teraz słuchawkę, na małeńkie znamię przy jej skroni, myślałem o tym, jak kuriozalnie musiała wyglądać moja postać, przytwierdzona do chłodnego statywu. Spektakl, którego dzisiaj byliście świadkami, po jakimś czasie stał się seryjnym przedstawianiem, a ja za każdym razem zachwycałem się nim tak samo, jak w dniu premiery. Nie umiałem opanować swojej żądy. Nie chciałem opanować swojej żądy. Ta sukcesywna katatonia sprawiała, że każdy włos na moim łonie dostawał silnej eksplozji zmyślonego nerwu, a każda rześa w moim oku podwijała się ku górze niczym trzcina zamiatana przez wiatr, i ja - neurotyczny błazen w sile wieku - doznawałem czegoś na wzór wirtualnych uniesień; tak bliskich zresztą rzeczywistym lubościom, że nie sposób o nich pisać. Czy kiedykolwiek czuliście na sobie nieistniejący dotyk błękitnej ćmy i smak wymyślonych ust na mokrych wargach, kształt wymarzonej piersi i replikę obcych bioder, okalających wasze przyrodzenie jak góra, a w niej wulkan - czyli wy? Gdyby można było przetoczyć wam te doznania, jak przetacza się krew w żyłach, uwierzcie, połączyłbym was siecią plastikowych rurek, a ostatnią igłę wbił w swoją aortę i patrzył jak odchodzicie w ciepło-złotym paroksyzmie grzechu pierwotnego. Nikt z was nie dojdzie nigdy tego, co tak naprawdę chcę powiedzieć, i nie przypuszczam, byście znali choć namiastkę mych najgłębszych myśli, ponieważ jedynie rozumianą przez wasz umysł. Już teraz odchodzicie od zmysłów. Już teraz łapiecie się za głowę. A to jedynie



preludium do tego, czego będziecie słuchać przez najbliższych kilkaset milionów uderzeń mojego serca i kilkaset miliardów impulsów na moich neuronach, gdzie synapsy rdzewiały niczym skorodowany zawias.

Pamiętajcie, żeby zapiąć pas.

Pamiętajcie...